

Rohatiner, J. J.

Dr J. J. Rohatiner o K. Wierzyńskim (25 XI 1977 r.)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 20/2, 87-97

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

J. J. ROHATINER

DR J.J. ROHATINER O K. WIERZYŃSKIM (25 XI 1977 r.)

I

Niewinne „hobby” — zainteresowanie się sportem (przeważnie narty i tenis) z początku gnieździło się na jakimś drobnym wycinku szerokiej i różnokolorowej skali radości życia księcia poetów, Kazimierza Wierzyńskiego. Z czasem przemieniło się ono w pasję, w krzak ognisty, który wybuchł *Laurem olimpijskim* i złotym medalem, przyznany mu w r. 1928 za ten zbiór porywających wierszy na Olimpiadzie w Amsterdamie. Wierzyński żył tak bez reszty poezją i właśnie z racji swej pozycji w polskiej literaturze był tak nieustannie w orbicie zainteresowania społeczeństwa, że wybór jego na redaktora naczelnego „Przeglądu Sportowego” był może dla niektórych niespodzianką. Niesłusznie, gdyż był on entuzjastycznym miłośnikiem sportu i czynnie go uprawiał, a redagowanie pism nie było mu nowiną. Miał już za sobą kilka takich staży.

Okazał się ten pomysł genialną iskrą. W stosunkowo krótkim czasie Wierzyński skupił w tym tygodniku sztab współpracowników o nieprzeciętnym ciężarze gatunkowym; zorganizował zespół zdolnych i entuzjastycznych dziennikarzy, dobieranych, jak to mówią, ze świecą; wagą swego nazwiska, magnesem osobistego czaru zwiabił grono korespondentów zagranicznych, niekiedy reprezentujących polityczne działy najpoważniejszych dzienników polskich. Wszyscy albo „spece” w jakiejś gałęzi sportu, albo dziennikarze z urodzenia. Przeważnie jedno i drugie.

Powiedział ktoś, że dziennikarz to człowiek, który zgubił swój zawód. Ja odwróciłem to spostrzeżenie, jak kota: do góry nogami. Dziennikarz — to właśnie człowiek, który znalazł swój zawód. Dziennikarstwo samo niejako wyszukuje sobie swych najwierniejszych rekrutów. Z tym trzeba się urodzić. Stąd też tyłu jest w tym zawodzie ludzi, którzy, czymkolwiek by przedtem nie byli, w końcu lądują w swym wyśnionym raju, często po długiej, mozolnej i krętej wędrówce po ugorach innych poszukiwań.

Kazimierz Wierzyński, obok wyczulonej wrażliwości i wysublimowanego intelektu, związanych w nierównej parze z obsesją studiów i eksperymentów nad techniką twórczości pisarskiej i poetyckiej, miał jak sejsmograf czujną reakcję na to, co się działo w kraju. Jak dziecko cieszył się z najprostszych rzeczy: gdy patrzył, jak zmięta trawa zieleni się i odpręża się w polu, radował się lotem ptaka na tle chmur, zachwycał się srebrzystą pianką wody górskiego potoku. Uciekał w krajobraz i wieś, dosłownie — jeśli tylko mógł, albo w swych wizjach poetyckich. Ale uderzał w struny tragiczne, gdy czarne chmury zbierały się nad Polską. *Wiosna i wino* i *Laur olimpijski*, ale i *Wolność tragiczna* i *Kurhany*.

Ale nie o tym mieliśmy mówić. Swą rolę redaktora traktował bardzo poważnie. Jego olbrzymi talent i autorytet w literaturze, ujmujący czar osobisty

pomagały nam wszystkim, sędzę, ale mogę mówić tylko o sobie, w ciężkim czasie z nim współzyciu. Był wymagający. Oczekiwał odpowiedzialności za każde słowo tekstu nawet w sprawozdaniu z najgłupszego jakiegos meczu piłkarskiego. Domagał się obiektywnej oceny i krytyki spokojnej, pozytywnej; konstruktywnej — jak mawiał. Ganił każdy głupiec potrafi — ciągnął; czasem lepiej pominąć milczeniem niż ranić. A swoją drogą — przymrużał wtedy filuternie jedno oko — można pochwalić tak złośliwie, że nikt nie może mieć pretensji, a facet czy facetka są wykończeni. Jako ilustrację takiej swoistej, mistrzowskiej sztuki opowiedział mi w późnych sześćdziesiątych latach, gdy powrócił na stałe do Londynu, o genialnym „chwycie” Antoniego Słonimskiego. W jednej ze swych recenzji teatralnych, nie chcąc „objechać” słabo grającej znanej aktorki występującej w jakiejś premierze w Warszawie, napisał: Panna (tu nastąpiło nazwisko aktorki) zademonstrowała wspaniałe toalety w roli głównej. Kropka. Koniec.

Pan Kazimierz — tak kazał mi nazywać siebie w późniejszych latach, gdy już mówił mi *per* „panie Jurku”; ale nigdy nie mogłem zdobyć się na to i już na zawsze pozostał dla mnie „Panem redaktorem”. Gdy go poznałem (a miałem wtedy lat 17) i nieco później, po krótkim okresie terminowania, gdy zostałem „mianowany” korespondentem „Przeglądu Sportowego” w Pradze czeskiej, mówił mi (jak słusznie należało przemawiać do smarkacza) przez „Ty”. I w tym właśnie okresie oberwało mi się nieraz porządnie.

Nawet w telefonach niedzielnych, dyktowanych na chybcika tuż po zawodach, redaktor naczelny spodziewał się odpowiedniego poziomu oraz imaginacji. A przy tym baczył pilnie na czystość i zwięzłość języka, jasność myśli, oszczędność słowa. Tępił „gadulstwo”, za jakie uważał np. wyrażenie „jednym słowem”. Jeżeli napiszesz „słowem”, to już nie trzeba — tłumaczył mi przyjaźnie — pisać „jednym słowem”. Nie może być inaczej niż jednym; a więc to gadulstwo niepotrzebne.

U poety tak pełnego entuzjazmu i rozruchu, jak ptak rozświergotanego w swych wierszach, wydawały mi się takie przyjazne pouczenia sadyzmem i masochizmem równocześnie. Ale czekały mnie gorsze rzeczy. Gdym raz w reportażu radiowym z jakiegoś biegu na przełaj w Krakowie nieopatrznie powiedział z lwowska, że wiał silny boczny wiat, Wierzyński zadzwonił natychmiast z Warszawy do redakcji radia krakowskiego i na moje tłumaczenie tego przejęzyczenia się, że to widocznie naleciałość z okresu lat szkolnych niedawnych we Lwowie, redaktor gniewnie grzmiał w słuchawkę: „Można powiedzieć po lwowsku ‘na ser mater’, ale nigdy wiat”.

Przypomniałem mu to w Londynie na trzy dni przed jego niespodziewaną śmiercią, gdy zatelefonował, aby opowiedzieć o swych zmartwieniach z uchem.

Laryngolog, profesor Laskiewicz — mówił pan Kazimierz — już ustalił rozpoznanie. Jest to zapalenie trąbki Eustachego (część ucha środkowego).

— Widzisz, czego mi się zachciewa. Trębacz zafajdany. Teraz już mogę dostać posadę na wieży kościoła Mariackiego.

Uśmieliśmy się obaj, ale za chwilę Kazimierz Wierzyński dodał:

— Ten „wiat” to już panu wybaczam, panie Jurku. Ale nie tylko o takie rzeczy mam żal. Gwara regionalna w odpowiednim czasie i w całej swej krasie może być ozdobą prasy i radia. Ale sportowy żargon dziennikarski, radiowy i telewizyjny, jest płytki, konwencjonalny i często niedbały. Rodzajniki, zaimki, przysłówki, a nawet rzeczowniki czasami znikają w sposób tajemniczy i niewytłumaczony. Trzeba o to dbać, aby się znów znalazły, i zazdrośnie tego przestrzegać.

Wróciłem wspomnieniami do „Przeglądu Sportowego” i dawnych czasów. Kazimierz Wierzyński w „Przeglądzie” pisał mało i koncentrował się raczej na kierownictwie i organizacji. Pisał natomiast artykuły i notatki polemiczne, cięte

i dowcipne. Czasem złośliwe, ale nigdy nie ranił nikogo, nie krzywdził. Szczekał raczej, niż kąsał. A jeśli już kąsał, to „gryzł sercem”, jak napisała Maria Dłuska, autorka pięknej rozprawy o Wierzyńskim. Przepyszne były niektóre liściki, jakie pisał, czasem prywacie, w odpowiedzi na jakieś poważne zażalenia albo gdy autor listu zasługiwał w jego, Wierzyńskiego, ocenie na taką odpowiedź. Zaiste listy-perekli.

Opowiem o jednym. Gdy ktoś, skarżąc się na kompromitującą pomyłkę (zupełnie mylny wynik jakiegoś ważnego meczu piłkarskiego) napisał sarkastycznie: „Teraz macie masło na głowie i twarz umazaną kremem jak w tych amerykańskich komediach filmowych, gdy tort z kremem ląduje zawsze i niezawodnie na twarzy nieszczęsnego komika...” — Wierzyński odpowiedział krótko, skromnie i pogodnie: „Łaskawy Panie, dziękuję za wyrozumiałość. Mogło być gorzej. Zamiast kremu mogła być pasta do butów”.

Poeta z bożej łaski, który przepiękne wiersze wytrząsał tuzinami jakby z rękawa, któremu sypały się one spod pióra jak płatki kwiatów późnym latem — gdy pisał do „Przeglądu”, tworzył powoli, szło mu to na pozór prawie opornie. Kreślił, poprawiał, zmieniał, przerabiał. Dbał nie tylko o barwę słów, właściwy estetyczny ich dobór, ale i o każdy przecinek czy średnik. Potrafił zarazić oddechem poezji najskromniejszych swych współpracowników — tyle w nim było życia i stylu, taka fantazja, zakorzeniona w literaturze. Potrafił, przez innych, poszerzyć granice konwencjonalnej gazety sportowej. Ale mistrzowi słowa, czarnoksiężnikowi poezji proza zdawała się stwarzać pewne problemy.

Oczywiście, on sam był sprawcą tych pozornych „problemów”. Wysokie sobie stawiał wymagania. Takie same jak w poezji. A pisał prozą cudowną. Książka o Szopenie, napisana po kilku latach zupełnego milczenia, zdobyła mu taką samą sławę międzynarodową jak *Laur olimpijski*. Gdy zakopał się z żoną w puszczy leśnej amerykańskiej, żyjąc niemal w nędzy i biedzie, zdawało się, że się skończył. Rozkwitł jednak ponownie, gdy za namową życzliwych przyjaciół napisał książkę, przetłumaczoną na wiele języków, włącznie z językiem japońskim, hebrajskim i ... łaciną klasyczną! Dwa wydania angielskie, osobno w Ameryce i w Anglii.

Piękną prozą napisał po tym drugą książkę: *Moja prywatna Ameryka*. Znowu efektowna genialna mieszanka zwykłych, powszechnych słów i kunsztownie, jak na aptekarskiej wadze wyważonych poetyckich skojarzeń i zachwyków serca. To serce nagle wypowiedziało służbę, dosłownie stanęło w kilka dni po zawale, właśnie wtedy, gdy zdawało się, że najgorsze już przeszło, że wydrapie się z tego tak, jak wydobrzał przedtem, po pierwszym zawale.

Serce niestrudzonego wędrowca zamilkło, przestało bić. Brzmi jednak dalej jego słowo, tętnią jego wiersze. Przed chwilą nawet, po tylu latach od jego śmierci, otoczony pustką, jaką zostawił po sobie, i pisząc te słowa odczułem lekkiego skurcz w krtani. Już przeszło. Tylko bardzo mi smutno.

II

Rubla nie było w redakcji; gdzieś się zawieruszył. Pognałem jak wiatr do Obrubańskiego. Redaktor naczelny „Raz dwa trzy” był, po Rublu i szwagrze Dąbrowskiego, dyrektorem Kazimierzu Dobii, najbardziej przyjazną mi duszą w redakcji. Zgrzany i szczęśliwy opowiedziałem mu o tym, co zaszło, i że wyjeżdżam na dwa tygodnie urlopu. Byle gdzie, byle przed siebie i jak najdalej od „Kuriera”, jego plotek, intryg, walk podjazdowych, a przede wszystkim niezdolnego hurra-patriotyzmu i nacjonalizmu.

— Wie pan, doktorze — żartuję, wesoły jak wróbel — jak jabłko spadnie z drzewa w czyimś ogrodzie, nazajutrz czytam w „Kurierze”, że spadło na chwałę ojczyzny.

— Może pan, na odmianę, zrobi co dla chwały „Kuriera” — mówi Obrubański. — Niech pan zrobi dla nas mistrzostwa hokejowe świata w Krynicy. Inaczej musiałbym jechać sam. Nasz miejscowy korespondent pomoże panu i dam panu również fotografa.

Urlop diabli wzięli, ale zgodziłem się natychmiast. Pognałem do domu po walizkę, wróciłem do redakcji, by załatwić zgodę płać i formalności, i za dwie godziny byłem na dworcu.

Jadę służbowym biletem „Kuriera”, pierwszą klasą, bez obiadu; spocony, ochrypli. Mróz duży, pada śnieg. Konduktor zapewnia mnie, że pociąg zatrzymuje się na 10 minut w Rzeszowie, gdzie zjem coś naprędce w bufecie.

Wyskakuję jeszcze w biegu w Rzeszowie, połykam omal się nie dławiąc jakąś bułkę z szynką, patrzę spokojnie, jak pociąg przesuwa się powoli przed moimi oczyma.

— Szybują go na inny tor — myślę: mam jeszcze 8 minut.

Poszedł i zniknął bez śladu. Walizka, pieniądze, bilet kolejowy, płaszcz — wszystko. Idę do kierownika stacji. Słuchał życzliwie, ale z wyraźnym podejrzeniem. Pociąg miał spóźnienie — mówi — i ruszył wcześniej. Następny jedzie późnym wieczorem. Uspokoił się znacznie, gdy mi prosił o pieniądze.

— Proszę zatelefonować do naszego oddziału w Rzeszowie i zawiadomić Krynicy, że moje rzeczy są w przedziale i odbiorę je po przyjeździe późną nocą.

Na wszelki wypadek — słyszałem to wyraźnie — zadzwonił również do miejscowej policji. Ogrzany i nakarmiony przez naszego miejscowego korespondenta (też był z początku podejrzliwy), wróciłem na dworzec w pożyczonym futrze.

Nareszcie jest pociąg.

W przedziale tylko jeden pasażer. Wyraźnie cudzoziemiec. Starszy pan, dobrze ubrany, nienaganne manieri. Holender.

Ożywił się znacznie, gdy mu pokazałem zdjęcia ze ślubu królowny Juliany z księciem Bernardem, który odbył się dnia poprzedniego: stał się rozmowny. Nie mógł, powiedział, niestety być na ślubie; musiał wyjechać. Dowiedziawszy się, że jadę do Krynicy, powiedział, że również tam jedzie, że będzie mieszkał w Patrii, podówczas będącej własnością Jana Kiepurę. Wypytywał o hotel, czy jest na poziomie, pytał o Polskę. Mówiliśmy dziwną mieszaniną niemiecko-francusko-polską. Zaprosiłem go na wieczorne mecze na drugi dzień. Była północ, gdy dojechalśmy do Krynicy.

Spotkaliśmy się nazajutrz w Patrii. Zaprosił mnie na kieliszek koniaku i pojechalśmy na stadion. Grała, zdaje się, Kanada z Czechosłowacją, dokładnie nie pamiętam. Mecz był fascynujący i mój przyjaciel okazał się zapalonym kibicem. Przykuty do swego miejsca, dosłownie pożerał wzrokiem grę i zajęcia na lodzie. Niekiedy szalał prawie. Nigdy jednak nie wyszedł poza jakąś nieokreśloną granicę ekonomii ruchu i dźwięku, narzuconego tym, co nazywamy dobrym wychowaniem. Delikatny balans elegancji i stylu wyczuwało się raczej, niż dostrzegało okiem. Naelektryzowany ładunkiem emocji, nie tracił umiaru i kontroli nad stanem swych wzruszeń.

Nagle, spojrzawszy na zegarek, wstał i przeprosił. Powiedział, że musi odejść, gdyż ma ważną konferencję przed północą. Cóż u licha — pomyślałem — konferencja o takiej porze? Na romans i uczuciowe zaangażowanie tego rodzaju wydał mi się, ucziwie mówiąc, już trochę za stary.

Są chwile w życiu człowieka, gdy świadomość staje się nagle wysublimowana i uwrażliwiona, jasna i przejrzysta jak kryształ. Stan prawie proroczej pewności i nieomylnego przekonania. Tak właśnie wtedy czułem, nie mając je-

szcze odwagi snuć moich domysłów do końca. W pewnych okresach, a raczej pewnych momentach czy chwilach mego życia mam jakieś skłonności lub może zdolności automatycznego, prawie podświadomego myślenia i pisania. Są to prawie halucynacje, jakby ostre, wyraźne wizje. Wtedy nic nie jest mi bardziej obce niż przeszłość. Jeśli mam jakąś świadomość czegoś, jest ona wszystka i cała w czasie i trybie terażniejszym i zdaje się niejako przepowiadać bezpośrednią i natychmiastową przyszłość, która sprawdza się aktualnie na moich oczach, zanim jeszcze została wypowiedziana.

Dziesiątki drobnych szczegółów składają się teraz na godną zapamiętania całość. Przyjechaliśmy wczoraj o północy. Holender. Ślub wczorajszy i żal cudzoziemca, że musiał wyjechać. Tajemnicza zielona kasetka, której nie spuszczał z oka ani na chwilę. Dzienniki dzisiejsze pełne szczegółów o ślubie i komunikat oficjalny, że młoda para wyjeżdża *incognito* w podróż poślubną w nieznanym kierunku.

Jak raca świetlna zaświtała myśl prawie obłądna. Tak, oczywiście! Julia i Bernard. Przyjeżdżają do Polski! On jedzie po nich na dworzec.

Nie raziła mnie ani nie wstrzymywała oczywista absurdalność tej myśli. Wiedziałem automatycznie, że muszę wstać i podążyć za moim Holendrem. On do sanek, ja do następnych, on do Patrii, ja za nim.

Usiadłem w restauracji w strategicznym punkcie, naprzeciw schodów.

Niedługo potem jest. Wysoki Holender jeszcze jakby się wydłużył. Bo i cylinder miał lśniący na głowie i jakiś czarny, uroczysty, poniżej kolan sięgający płaszcz staromodny. Nerwowo zbiegł po schodach, do wyjścia.

I znowu dyskretnie, jak w filmie amerykańskim, sanki za sankami. Niepostrzeżenie. Dworzec pusty. Jeden policjant i jedna tylko jeszcze czarna figura w cylindrze obok mego Holendra. Dyrektor uzdrowiska inż. Nowotarski. Dobry mój znajomy, więc skłoniłem lekko głowę. Nie widziałem, ale wiedziałem, że zbladł. Położył palec na ustach charakterystycznym gestem. Zostawił Holendra i podszedł do mnie.

— Skąd się pan dowiedział? — i nie czekając na odpowiedź dodał: Ani słowa nikomu. Rozumie pan? Nikomu.

Właśnie zjechał pociąg. Okrągła, rumiana twarz królowny Juliany i podłużna, znajoma twarz księcia. Nieodłączne okulary w ciemnej, rogowej oprawie.

Pognałem jak wiatr. Do sanek i na główną pocztę. Zamknięta. Pracują tylko do północy. Zaspany dozorca tłumaczy, że wszyscy już poszli niedawno do domu. Mówię, że muszę rozmawiać z IKC w Krakowie. Bardzo pilne.

— Proszę dzwonić do pana dyrektora. Tylko dyrektor poczty może pomóc.

Dyrektor, zbudzony brutalnie i wtajemniczony w stan rzeczy był na miejscu w kilka minut. Z kolei zbudził telefonistkę i za chwilę rozmawiam z Krakowem.

Tym razem nowa trudność. Redakcja nie chce wierzyć. Wiemy już — mówią — to jest plotka, puszczona przez jakiegoś kolejarza w Niemczech. Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych i poselstwo holenderskie stanowczo tę plotkę zdementowały.

— Gabuś — mówię do kolegi — nie wygłupiaj się, ja ich sam widziałem. Witaj ich na dworcu dyrektor Nowotarski. Przywieźli sześć dużych kufrów.

Gabriel Sokołowski zasłaniał się w dalszym ciągu autorytetem MSZ i poselstwa holenderskiego. Wściekłem się: „Ja ci nakazuję. Zbudź posła”.

Do dzisiejszego dnia nie wiem, co zdecydowało, że Dąbrowski postanowił zaryzykować. Kazał puścić do numeru. Wiadomość naszą powtórzyła nazajutrz cała prasa polska i światowa, a gdy Warszawa ponownie ogłosiła podwójne zaprzeczenie w następnym dniu, IKC miał równocześnie już mój wywiad z młodą parą i zdjęcia fotograficzne. „Tempo Dnia” już poprzedniego popołudnia dało długi reportaż i zdjęcia.

Wczesnie rano, w kilka godzin po przybyciu młodej pary, byłem już w Patrii i posłałem wizytówkę do mego przyjaciela. Przybiegł na dół do hallu przerażony. Prosiłem o pomoc w uzyskaniu wywiadu.

Oświadczył, że to niemożliwe. Że są tu *incognito*, że straci swą posadę. Myślałem, że był sekretarzem. Był marszałkiem dworu.

Zostawiłem go, nagle powodowany impulsem. Po schodach właśnie schodził w dół książę Bernard. Przeprosiłem, przedstawiłem się i poprosiłem o wywiad.

— Zgoda, mówi książę z uśmiechem, ale proszę pomóc mi znaleźć fryzjera dla mojej żony. Za chwilę zjawiała się królowna; zostałem przedstawiony i razem w trójkę poszliśmy piechotą do fryzjera. Przrzekłszy wrócić po nią za godzinę, ucieliśmy długą rozmówkę w barze hotelu. Odprowadziwszy Julianę z powrotem do Patrii otrzymałem zgodę na wywiad po południu i na kilka zdjęć natychmiast.

Skromność młodej pary, łatwość komunikowania się i zupełny brak snobizmu były uderzające. Byli w dobrym humorze i chętnie godzili się na nie bardzo czasami oględne moje prośby. Królowna, za moją namową, usiadła np. mężowi na kolanach, otrzymawszy oczywiście przyrzeczenie, że będzie to zdjęcie prywatne tylko dla nich, nie do publikacji.

Po południu, już po rozlicznych rozmowach z redakcją, poszliśmy na narty. To znaczy na lekcje narciarstwa. Królowna ani w ząb i co chwilę podnosiliśmy ją ze śniegu.

Z powrotem w Krynicy — niespodzianka. Po wywiadzie w popołudniowce „Kuriera” znaleźliśmy wieczorem w Patrii kilka tuzinów dziennikarzy i fotografów prasy polskiej i zagranicznej. Moi królewscy znajomkowie prosili o pomoc i trochę spokoju. To ostatecznie miała być ich podróż poślubna, tłumaczyli mi z lekkim strachem.

— Może pan z nimi porozmawia i da im codziennie garść interesujących informacji.

W ten sposób zostałem honorowym attaché prasowym młodej pary.

Do czasu. Za dwa dni, wskutek interwencji poselstwa holenderskiego i podobno na prośbę ówczesnej królowej Wilhelminy, przyjechał do Krynicy jeden ze starszych radców naszego MSZ i przystąpił do akcji. Poprosił mnie na konferencję, zawiadomił, że obejmuje moje funkcje, pogratulował sukcesu i otworzył „Biuro Prasowe”. Równocześnie przekazał młodej parze zaproszenie prezydenta Mościckiego i ofertę zamieszkania w willi prezydenta. Mnie prosił o powrót do Krakowa. Odmówiłem.

W godzinę potem telefon do mnie od księcia Bernarda.

— Co się tu dzieje? Dlaczego te zmiany? — pyta zaniepokojony.

— Myślałem, że to inicjatywa królowy i księcia. Podobno na prośbę waszego poselstwa.

— Czy może pan przyjść teraz do Patrii? Żona jest chora.

Wiedział, że ukończyłem studia lekarskie, i zapytał, czy zechciałbym zbadać żonę. Odmówiłem zdecydowanie. Nie miałem żadnego w ogóle doświadczenia. Przrzekłem przyjechać natychmiast, załatwić miejscowego lekarza.

Juliana nie była poważnie chora. Zwyczajne przeziębienie, skomplikowane nieco przez normalną, okresową przypadłość kobiecą i ból dolnej części brzucha. Jeden dzień w łóżku i wydobrzeje.

Bernard już uspokojony, ale wyraźnie z czegoś jest niezadowolony. Prosi do siebie.

— Kto to ten radca i czego chce? Co to za zaproszenie? My się nigdzie nie chcemy ruszać z tego hotelu. Jak chcę zjeść kawałek sznycła, to wolę go sobie kupić... — mówił gniewnie.

Dla ścisłości historycznej należy dodać, że książę nie sformułował swego

przemówienia dosłownie w ten sposób; ale to, co napisałem, odpowiada mniej więcej treści jego wypowiedzi, choć nie wyraził się, być może, aż tak lapidarnie. Słowem: nie chcieli przenosić się do willi prezydenta i nie chcieli pomocy radcy MSZ. Prosilili, bym ja porozmawiał z radcą i wytłumaczył.

— Czy pan zechciałby pomóc nam jeszcze przez dzień lub dwa? Dla ścisłej naszej opieki osobistej przyjadą dwaj detektywi z Holandii.

Farsa była genialna i sytuacja podobała mi się coraz bardziej. Telefon do redakcji i narada z Dąbrowskim i Rublem. Uchwaliliśmy, że choroba królowny da bardzo pożyteczną wymówkę, aby nie przenosić się do willi prezydenta. Uchwaliliśmy oddać radcy prasę zagraniczną i polską, natomiast dostałem polecenie, ba, niedwuznaczny rozkaz nieopuszczania Krynicy. Radcy miałem oświadczyć, gdyby bardzo nalegał, aby dał się... wypchać, i poprosić, aby ministerstwo nie organizowało nam pracy redakcyjnej. My sami — miałem powiedzieć — dajemy sobie łatwo radę i dziękujemy. Jeśli zaś ministerstwo ma jakieś sugestie, to proszę przedstawić je wprost do posła Dąbrowskiego.

Poseł nie lubił „Warszawy” i gdzie tylko można było, podkreślał niezależność pisma. Politycznie była to ułuda, ale krwi różnym kacykom rządowym napsuł często co niemiarą.

Teraz wreszcie kolej na Rolls Royce. Poseł prosił zawiadomić młodą parę, że oddaje im do dyspozycji swego Rolls Royce i zaprasza do Krakowa.

Zostałem teraz honorowym sekretarzem młodożeńców. Radcę było trudniej spławić, niż myślałem, ale w końcu zrezygnował z walki, gdyż kontakt oficjalny z naszymi gośćmi miał tylko przeze mnie. Tylko raz został oficjalnie przedstawiony i więcej ich nie ujrzał.

Rolls Royce został użyty tylko raz, i to właśnie na podróż do Krakowa. Z Holandii przybył ich własny wóz. Z młodą parą spędziłem jeszcze tylko ten dzień w Krakowie. W Niemczech były właśnie wybory do parlamentu i przesiedziałem z księciem długie godziny, słuchając naszego radia i tłumacząc mu stale nadchodzące meldunki o wynikach wyborów i dużych sukcesach Hitlera.

Na pożegnanie dostałem jedną czerwoną różę od królowny. Powiedziała, że to od Królowej Matki, z którą tylko raz rozmawiałem telefonicznie w czasie choroby królowny. Ta róża od „mamy” była mało prawdopodobna. Młoda księżniczka chciała mi zrobić przyjemność i podziękować za „służbę”.

Z kieliszka z najlepszego kryształu, napełnionego przednim czerwonym winem, piję zdrowie uroczej i skromnej wtedy dziewczyny, dziś królowej Holandii

III

Jak łatwo i jak obficie płyną słowa, gdy się nie ma nic do powiedzenia albo nic do stracenia; z jakim trudem i jak mozolnie buduje się zdania, formułuje się myśli i sądy, kiedy dziennikarz ma poczucie odpowiedzialności za każde słowo.

Słowo pisane to często dużo, czasem to potęga. Ktoś kiedyś nazwał dziennikarstwo trzecim mocarstwem; już nie pamiętam, jakie to miały być te inne dwa. Jednym z nich był, zdaje się, Kościół.

Z tą potęgą i z tym mocarstwem to może lekka przesada; poranny dziennik jak czerstwy wczorajszy chleb jest już przestarzały na drugi dzień, a nawet tego samego dnia po południu. Gazeta to tylko jednodniowa łątka. Nie należy więc przesadzać z tą rzekomą władzą i rządem dusz. Niejeden dziennikarz mocno się poci, gdy mu przyjdzie coś napisać, i niejeden zachowuje się jak uczeń, jak żak szkolny. Odkłada to z godziny na godzinę, zwleka do ostatniej chwili, kiedy przysłowiowy nóż jest już na gardle. Niektórzy nawet twierdzą, że im się najlepiej pisze właśnie w takiej sytuacji.

Bez wrodzonego talentu prawie nigdy nie można się tego nauczyć ani „nabyć drogą kupna”, jak czarująco naiwnie mawiał mój instruktor z podchorążówki. Inna rzecz, że wyższe szkoły specjalne i w ogóle jakiegokolwiek studia jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziły. W swoistej głupocie siedemnastoletniego idioty uciekłem ze szkoły dziennikarskiej wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego. Wtedy zdawało mi się, że mnie, „dziennikarza” od dwóch już lat, tam w tej szkole nie mogą chyba niczego nauczyć. Ba, wstyd się przyznać, ale powiedziałem w tym okresie jednemu z kolegów — oczywiście żartem, ale żartem, który mi się samemu podobał — że w tej szkole bez trudu mógłbym wykładać. Jakże chętnie i z jakim zapalem poszedłbym dziś do szkoły. Do jakiegokolwiek szkoły.

Wpierw terminowałem w jakimś toruńskim tygodniku sportowym. Nazwy nie pamiętam. Zdaje się „Sportowiec”. Rok był 1924. Kupowałem regularnie całą prasę sportową polską i zauważywszy, że nie ma w toruńskim piśmie korespondencji ze Lwowa, napisałem list, skarżąc się na taki niezadowolający stan rzeczy. Szło mi zwłaszcza o wyniki małych klubów piłkarskich ówczesnej „C” klasy. W jednym z nich, który wspólnie z kilku kolegami założyłem, grałem na prawym skrzydle. Wieczorem, po meczach, zanosilem nasze wyniki do redakcji miejscowych dzienników i do „Sportu” prof. Wacka.

Z Torunia otrzymałem odpowiedź. Tłumaczyli, że ich lwowski współpracownik red. Jurkiewicz wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i jest bardzo zajęty przygotowaniem do wyjazdu. Obiecali napisać do niego i prosili, aby się z nim porozumieć.

Napisali. Nie wiedzieli i nigdy się nie dowiedzieli, że właśnie kończyłem 16 lat. Jurkiewicz wyjeżdżał na stanowisko redaktora „Dziennika Polskiego” w Chicago. Młody, ujmujący, ale i ryzykant. Nie znał mnie zupełnie. Wyjeżdżał nazajutrz czy za dwa dni i na nic nie było już czasu. Zatelefonował więc do Pogoni, Czarnych i Lechii i zawiadomił, że mnie zdaje swe funkcje. Przypadliśmy sobie do gustu i prosił o korespondencję z Polski do swego dziennika w Ameryce.

Od tego czasu otrzymywałem niekiedy zielone pięciodolarówki. Płacili natychmiast bez proszenia. Spotkania piłkarskie we Lwowie śledziłem odtąd już z łoża prasowej. Stąd, krótką drogą na przełaj, trafiłem do „Sportu” prof. Wacka jako honorowy, niepłatny młodszy asystent.

Wacek, niezrównany pedagog, wychowawca dwóch pokoleń młodzieży lwowskiej, przygarnął mnie, uczył, strofował i zrzedził. Chwalił rzadko. Najwyższym uznaniem było „nieźle” albo „nie najgorzej”.

Wacek utykał, miał jedną nogę krótszą, lecz jeździł na rowerze jak cyrkowy akrobata. Wydawał pismo własnym kosztem, borykając się stale z trudnościami finansowymi, zalegając z rachunkami za drukarnię i papier. Mimo konkurencji „Przeglądu Sportowego”, opartego o potężny koncern prasowy tzw. Czerwonej Prasy, oraz krakowskiego „Tygodnika Sportowego”, wtedy zasobnego pisma, Wacek trwał uparcie na swej placówce, wydając „Sport” jeszcze przez kilka lat.

Znając sytuację nie brałem oczywiście ani grosza. Nikt nie brał. Ale za kilka miesięcy otrzymałem swe pierwsze honorarium: piękny sportowy rower. „Półwyścigowy” — powiedział profesor. Często pożyczalem mu ten rower. Aż mu się oczy śmiały do tych dwu kółek. Wiedziałem, że nie stać go na kupno drugiego takiego dla siebie.

Profesor ożenił się później z sekretarką naszej redakcji i — żarty sobie z nich strojąc — ze znaczącym przymrużeniem oczu twierdziliśmy, że Wacek ożenił się, aby nie trzeba było Jadzi płacić jej pensji sekretarki. Jeśli dotrze kiedyś do niej ta książka, ze wzruszeniem i wdzięcznością po lwowsku „całuję rączki” i dziękuje. Za wszystko: za przyjaźń, za uśmiech wesoły, za pogodę ducha.

Prof. Wacek był również redaktorem działu sportowego dziennika narodowo-demokratycznego (a więc endeckiego — jak się mówiło) „Słowo Polskie”. Wkrótce

i tam zapuściłem korzenie. Współpraca z Toruniem urwała się: pismo to wyzionęło ducha. Pomimo atawistycznej plamy na mej metrycy (żydowskie moje pochodzenie) naczelny redaktor pisma, dr Kordys, życzliwie się mną opiekował i niejeden bój o mnie staczał. Niestety, nie było mi dane odwzajemnić się mu w potrzebie. Spotkałiśmy się w wiele lat później w redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, tzw. Ikaca, którego byłem do niedawna praskim korespondentem. Do czasu, aż mnie Czesi wygnali z Pragi za winy przeze mnie nie popełnione. O tym może później.

Dr Kordys popełnił samobójstwo w tragicznych okolicznościach. Nożykiem do golenia przeciął sobie oczy i żyły w przegubach obu rąk. Byłem już wtedy lekarzem, lecz medycynę zawiesiłem na kołku,wołając dziennikarstwo. Wezwano mnie z redakcji w późnych godzinach nocnych. Zmarł przed moim przybyciem. O szczegółach ani nie chcę mówić, ani jako lekarzowi nie wolno mi. Koszmarna zhora. To tak, jak gdyby Witkacy, Zegadłowicz, Gombrowicz i Kafka spotkali się, powiedzmy, w Wietnamie i podawszy sobie ręce wspólnie uknuli ten dramat.

Tak mało już nas z tych czasów zostało przy życiu, że chciałbym tu wspomnieć o kilku starszych ówczesnych kolegach. Chylę czoło przed wspólną ich jakby mogli: Tadeusz Przybylski z działu sportowego Polskiego Radia we Lwowie; ówczesny major, później ppłk dr Mirzyński, prokurator wojskowy i kierownik działu sportowego „Wieku Nowego”; Tadeusz Maliszewski, wtedy redaktor sportowy „Gazety Porannej”, i Juliusz Koenig z „Chwili”. Żyje natomiast wspaniały, rasowy dziennikarz Adam Nechaj, który zaczynał swą karierę na łamach sportowych lwowskich dzienników. Później rzucił sport i przeszedł do innej niejako klasy. Pisał artykuły wstępne. Od lat przebywa w Stanach Zjednoczonych i chyba jeszcze pisze. Musi mieć z 80 lat.

Wszystko to, prawie bez wyjątku, dziennikarze, mający instynktowne wyczuwanie języka i odpowiedzialności za każde słowo. Język to zresztą nie tylko słowa. To również rytm i ton, i dźwięk słowa. To także kolor i ciepło; czasami nawet łamańce i lekkie nadużycia składni, jeśli były po temu jakieś ważne powody. Zostawmy to jednak. To są techniczne sprawy, niewątpliwie ważne, ale sprawą zdecydowanie nadrzędną jest nawiązanie łączności z czytelnikiem. Niekiedy wprost spisek z nim.

Można by podzielić dziennikarzy na różne grupy i typy. Mnie najbardziej podoba się klasyfikacja, którą nazwałbym „matematyczną”. Są tacy, co dodają i mnożą niejako, upiększając i uwypuklając sprytnie jakieś małe cząsteczki swych myśli, choć rzadko wiążą się one w zwięzłą, klarowną i organiczną całość. Są inni, którzy odejmują i dzielą. Zaciekle pielą i skubią swe grządki, tną i skrobiają, wydrapują niemal swe słowa, specjalizując się w ascetycznym sposobie wyrzekania się wszelkiego zbędnego słowa. Taki potrafi ułożyć całą mowę z dwunastu słów.

Dosyć. Chciałem tylko na chwilę wprowadzić czytelnika do naszych pracowni, niejako od tyłu, od kuchni.

*

„Kariere” robiłem szybko. Od roku pracowałem w „Wieku Nowym” i „Sporcie”. Mając lat 17 wyjechałem do wyższej szkoły dziennikarskiej w Pradze czeskiej. W Polsce takiej szkoły wtedy nie było. Istniało Wyższe Studium Handlu Zagranicznego. Szkolili się tam przeważnie kandydaci do służby zagranicznej konsularnej lub dyplomatycznej oraz przyszli ekonomiści. Było tam również zawsze kilku dziennikarzy w pieluszkach.

Wolałem pojechać do Pragi. Łączyło się to z perspektywą objęcia obowiązków korespondenta „Wieku Nowego” i — zupełnie niespodziewanie — „Przeglądu Spor-

towego". Dla „Wieków” miałem robić wszystko: „Co się panu żywnie podoba” — powiedział naczelny redaktor. Politykę, felietony „dyrdymałki”, kryminał, sport (czy zauważyliście, że sport na samym końcu — tuż obok kryminału). Gdy w kilka tygodni później Kazimierz Wierzyński zaproponował podobną współpracę na terenie sportowym dla „Przeglądu Sportowego”, którego był wówczas naczelnym redaktorem, nie ukrywałem swej radości.

Poznałem poetę w czasie dorocznego wyścigu kolarskiego dookoła Polski, organizowanego przez „Przegląd”. Reprezentowałem „Wiek Nowy” i pilnowałem specjalnie szóstkę lwowskich kolarzy, biorących udział w tym wyścigu.

Złożyłem grzecznościową wizytę w redakcji „Przeglądu”. Byłem jeszcze wtedy studentem gimnazjalnym. Kazimierz Wierzyński wiedział o mnie, ale usłyszawszy, że chodzę jeszcze do szkoły i że mam zamiar wyjechać do Pragi, zapytał w rozmowie, kto uczy u nas polskiego.

— Józef Wittlin — odrzekłem.

Upewniwszy się, że to „ten sam Wittlin”, że to „nasz Józek”, kolega poety ze Skamandra, genialny tłumacz Homera i późniejszy autor *Soli ziemi*, poprosił o napisanie artykułiku do „Przeglądu” o lwowskich kolarzach... W dwie godziny później, po wspólnym podwieczorku, składającym się głównie z diety alkoholowej, zaproponował korespondencje z Pragi.

Tak się zaczęło. Co było potem, trudno powiedzieć. Raczej zorganizowana anarchia niż współpraca. Bieg na przelaj przez płotki i opłotki. W szczenięcej zarozumiałości nie widziałem przeszkód. Z początku żyłem jak w mgłę. Mieszkalem w chmurach. Felietony, artykuły i telefony do „Wieków”. Korespondencje i telefony dla „Przeglądu”. Była to duża „fajda” i uciechy z tego miałem co niemiara. Czasami jednak, zwłaszcza gdy minęło pierwotne upojenie, czułem się jak wyschnięta studnia. Zupełna posucha.

Zdawało się niekiedy, że byłem chemicznie wyprany z wszelkiej inwencji. Gdy starałem się wycisnąć coś ze zmęczonego mózgu, tylko czas przeciekał przez palce, a w garści zostawały jakby grudki lepkiego potu.

Do „Przeglądu” pisałem i telefonowałem jak w półśnie. Ambicja nie pozwalała na byle co. To było moje okno wystawowe, to było pismo w stolicy. Musiałem przestawić się nieco i zmienić ton. Wyglądało to mniej więcej tak, jak gdyby popularne piosenki kabaretowe musiały ustąpić miejsca Szymanowskiemu lub Wagnerowi. Zmieniała się, na szczęście, tylko melodia; libretto zostało to samo. Wszystko prawie miało charakter snu. Często po prostu dla braku doświadczenia, a więc braku konsekwentnej konstrukcji i zwichrzonej, nieuczesananej formy i rozczłonkowanych akcji tych korespondencji. Nigdy nie byłem z siebie zadowolony, nawet gdy podobało się to w redakcji. Tak więc nawet sukces był w pewnym sensie rozczarowaniem. Zawsze wydawało mi się, że to gadatliwa pustka. „To są kamieniolomy głuchego milczenia” — napisałem pretensjonalnie i ni w pięć ni w dziewięć w liście do Kazimierza Wierzyńskiego.

Odpowiedział krótko: „Pisz dalej, może będzie z ciebie człowiek. Tylko nie staraj się być poetą; chyba, że musisz”.

Na szczęście przejrzałem i rozumiałem w czas. Przydała mi się ta rada wielkiego poety na całe życie. Rzuciłem „kamieniolomy milczenia” i „zielone jeziora nadziei”. Wróciłem niemal do przytomności. Została ambicja stworzenia w reporterce sportowej czegoś w rodzaju lekkiego stylu gawędziarskiego z tendencją do łagodnej satyry, ironii lub dowcipu. Niestety, został niepotrzebny pseudoliteracki sposób pisania i wybujałe ciągoty do ciętej puenty końcowej. Dla końcowego efektu, dla jednego zdania albo jednego nawet słowa pisałem niekiedy cały felieton.

W trzecim okresie mej pracy, gdy wróciłem w r. 1934 do Polski, uwidoczniło się pewne jakby rozdwojenie jaźni. Podział pracy na dziennikarstwo sportowe i ogólne pogłębił się jeszcze. Ostatnie dwa lata w Pradze (1932—1934) upłynęły głównie na walce podjazdowej z własnym dziennikiem, „Ilustrowany Kurier Codzienny” prowadził politykę wobec Czechosłowacji nie bardzo przychylną, czasem aż nieprzyjazną. Starłem się to łagodzić. Bez skutku. W końcu wyleciałem z trzaskiem za jakiś atak „Kuriera” na ówczesnego ministra spraw zagranicznych Benesa, później prezydenta Czechosłowacji. Choć artykułu tego nie pisałem i mimo oficjalnej interwencji naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Czesi decyzji swej nie zmienili.

Wróciłem do Krakowa, do „Kuriera”. Pracowałem w dziale depesz politycznych, utrzymywałem jednak częściową współpracę z redakcją sportową pisma i naszego tygodnika sportowego „Raz, dwa, trzy”. To właśnie dało mi stosunkowo duży sukces wewnętrzny: jako jedyny na świecie dziennik „Kurier” miał wiadomość o przybyciu do Polski tuż po ich ślubie następczyni tronu holenderskiego, obecnie królowej, Juliany i jej małżonka księcia Bernarda. „Odkryłem” ich w Krynicy przed hokejowymi mistrzostwami świata. Sukces tym większy, że uzyskał rozgłos światowy. Na drugi dzień po oficjalnym zdemaskowaniu mojego reportażu w „Kurierze” zarówno przez poselstwo holenderskie w Warszawie, jak i nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz światowe agencje prasowe „IKC” zamieścił mój wywiad z parą książką i zdjęcia fotograficzne...

Pozycja moja w redakcji utwierdziła się, dostałem awans. Był to dla mnie czas dojrzewania i kwiatów. W dalszym ciągu jednak mierzyłem za wysoko: gwiazdy nie były bliższe. Dalsza wiązanka sukcesów, ale i rozczarowań. W sumie pięć szczęśliwych lat, przerwanych pożogą wojenną.

Rok 1939. Wrzesień. Zdradziecki atak Hitlera na Polskę. W wojsku przemilczałem mój dyplom lekarza. Po tak długiej przerwie nie miałem zaufania do mojej medycyny. Po jakimś czasie niestety przypadkowo wszystko się wykryło i wbrew woli zgodziłem się w końcu na powrót do służby zdrowia. Argument pułkownika Mniszka był w skrócie taki:

— Żaden kraj nie ma za dużo lekarzy w czasie wojny. Brak doświadczenia, którym się pan wykręca, można uzupełnić. Poza tym: jeśli pan nie robił nic innego, jak tylko przecinał pęcherze na żołnierskich nogach piechurów, to i tak zrobi pan więcej dla kraju, niż gdyby pan siedział gołą pupą w rowie strzeleckim pełnym wody tak jak teraz.

„Pupa” została więc zwolniona z dotychczasowego zajęcia i siedziała czasem na krześle. Po ukończeniu wojny pozostałem już przy medycynie. Sport przestał istnieć. Zapomniałem o nim.

Nie zapomniał natomiast jeden człowiek w Polsce: zmarły przed kilku laty redaktor Tadeusz Maliszewski. Gdy nie mógł przyjechać na towarzyski mecz piłkarski Polski z Anglią w maju 1966 roku, zatelefonował z Polski i prosił o pomoc. Pojechałem do Liverpoolu i „zrobiłem” to spotkanie dla katowickiego „Sportu”. Myślałem, że to koniec. Redakcja podziękowała, Maliszewski napisał długi list. W skrócie brzmiał tak: „Proszę, pisz dalej. Pióro wyraźnie ci nie zardzewiało”. I taki koniec: „Wszyscy w redakcji jesteśmy radzi z ciebie”.

To „jesteśmy radzi” brzmiało jak z *Potopu* lub *Pana Wołodyjowskiego*.

Jak pan Podbipięta zatelegrafowałem: „Hadko słuchać”.

Mam nadzieję, że w redakcji są mi jeszcze ciągle radzi.